

Meloman niebanalny

W „Hi-Fi i Muzyce” pisujemy o kompozytorach, śpiewakach, teatrach i nagraniach. A przecież muzyczny świat nie może istnieć bez melomanów – słuchaczy koncertów, widzów spektakli operowych, wreszcie kolekcjonerów płyt i Czytelników naszego miesięcznika! Dziś oddajemy głos jednemu z tych, którzy naprawdę kochają muzykę.

Fotografie: Zygmunt Gołaszewski

Tak frenetycznych okrzyków i oklasków w wykonaniu jednego człowieka chyba jeszcze tu nie słyszano. Widzowie na balkonie Warszawskiej Opery Kameralnej z zaciekawieniem odwracali w jego stronę głowy, zaś siedzący najbliżej – ze śmiechem zatykali uszy. Tym entuzjastą spektaklu „Giulio Cesare” Haendla okazał się Zygmunt Gołaszewski – Polak z Nowego Jorku, który przyjechał do kraju na dwa tygodnie października, aby odwiedzić rodzinę, a przy okazji naładować akumulatory przeżyciami kulturalnymi, zwłaszcza muzycznymi. Zygmunt jest bowiem zagorzałym melomanem, wielkim miłośnikiem opery. Czytelnikom na-

szego miesięcznika opowiada o swojej pasji.

Hanna i Andrzej Milewscy: Jakie były początki twoich operowych zainteresowań?

Zygmunt Gołaszewski: W 1972 roku, w piątej klasie szkoły podstawowej, po raz pierwszy poszedłem do Teatru Wielkiego – z tatą, na „Wesele Figara” Mozarta. W tym samym roku byłem po raz pierwszy w Filharmonii Narodowej – na „Meksjaszu” Haendla (śpiewały Słowiki Stuli-grosza). Drugą operą, jaką zobaczyłem, była „Carmen”, wystawiona w stulecie śmierci Bizeta. Śpiewali Pola Lipińska

i Bogdan Paprocki. Trzecia była „Traviata” – i też do dziś pamiętam obsadę: Słonicka, Waclawik oraz Klimek. W liceum zacząłem chodzić do opery częściej, a to dzięki bezpłatnym wejściówkom od matki mojego kolegi, chórzystki w Teatrze Wielkim.

Po mutacji zacząłem się uczyć śpiewu w państwowej szkole muzycznej w Warszawie na Globusowej, u Zbigniewa Mizdraka. W klasie maturalnej przez rok byłem na śpiewie w średniej szkole muzycznej na Bednarskiej u pani Haliny Popkowskiej, uczeniicy Waclawa Brzezińskiego. Należałem też do młodzieżowego chóru Władysława Skoraczewskiego przy Teatrze Wielkim. Śpiewaliśmy m.in. jako dodatkowy chór we wznowieniu „Borysa Godunowa” pod batutą Andrzeja Straszńskiego. Później odbyłem studia wokalne w łódzkiej akademii muzycznej.

Czy wykształcenie muzyczne pomaga słuchać, czy też czasem zakłóca spontaniczną percepcję?

Myszę, że wykształcenie może trochę przeszkadzać w odbiorze. Z jednej strony – wie się więcej o danym dziele, ale z drugiej – myślenie o strukturach czasem zakłóca proste cieszenie się muzyką i jej pięknem. To takie swoiste szkiełko i oko uczonego mędrca. Dlatego od jakiegoś czasu staram się koncentrować na wykonaniu. A ponieważ nie mam za dużo czasu, chodzę jedynie na najlepsze spektakle. Nawet nie tylko do renomowanych miejsc, ale na konkretnych, znakomitych wykonawców.

Mawiasz o sobie żartobliwie: „baryton w stanie spoczynku”. Dlaczego porzuciłeś myśl o zawodowym śpiewaniu?

Po studiach w Łodzi nie śpiewałem najlepiej. Niewielu pedagogów zdecydowałoby się odkręcać to, czego się nauczyłem



Zygmunt Gołaszewski i Placido Domingo, obecny na scenie Met od 40 lat.



W garderobie Michaila Petrenki – demonicznego Sparafucile w „Rigoletcie” Verdiego.



Z Susan Graham – gwiazdą „Potępienia Fausta” Berlioz.

wcześniej. Ponadto szkoła, w której studiowałem, przyczyniła się do czegoś absolutnie najgorszego: do utraty wiary w siebie, w możliwy przecież sukces. Natomiast decyzja o emigracji do USA (1986) oznaczała walkę o materialną stabilność. Przez pewien okres śpiewałem w chórze polonijnym, a później w półprofesjonalnym grekokatolickim Metropolitan Singers, ale to nie dawało zarobku. Pracowałem więc jako urzędnik na Wall Street, a równocześnie podjąłem studia... pielęgniarские. Teraz, od dziesięciu lat, pracuję w jednym z największych nowojorskich szpitali.

Czy muzyczne hobby pomogło w aklimatyzacji w USA?

Zdecydowanie tak. W chórze Metropolitan Singers poznałem emerytowanego nauczyciela, który lubił emigrantów i im pomagał. Z kolei wcześniejsi imigranci, którym on pomógł, pomogli nam na początku pobytu w USA. Także dzięki niemu byłem po raz pierwszy w Carnegie Hall na gali Richarda Tuckera w 1987.

Mieszkaś na Brooklynie. Bywasz w nowojorskich muzeach, teatrach dramatycznych, w szacownej Carnegie Hall. Ale najczęściej chodzisz do Metropolitan Opera, którą nazywasz swoim drugim domem.

Byłem w wielu teatrach operowych, w tym w mediolańskiej La Scali i w wiedeńskiej Staatsoper, jednak najsilniej jestem zżyty z Met. Dorobek Met poznaję też z książek, przez radio i TV. Na stronie internetowej dostępna jest aplikacja Met Player, dzięki której można korzystać (okresowo – nieodpłatnie) z zasobów archiwalnych: 20 transmisji HD, ponad 40 klasycznych już transmisji telewizyjnych i 150 historycznych transmisji radiowych, sięgających roku 1937.

Stali bywalcy Met znają się z widzenia. To ciekawe osoby, choć zdarzają się i osobnicy niezrównoważeni psychicznie, jak np. siwowłosa Linda (wypisz wymaluj Danuta Stenka z plakatów sztuki „Marat/Sade” w Teatrze Narodowym). Przyjeżdża autobusem z New Jersey, co jest poświęceniem – jeśli wziąć pod uwagę późne powroty. Narozrabiała już kilka razy na widowni tak, że została wyprowadzona siłą. Za natrączywe telefony do jednej z wpływowych filantropki Linda ma teraz zakaz wstępu na teren Lincoln Center. Skądinąd jest inteligentna – zna japoński.

Jej zupełnym przeciwieństwem jest Louie, melomanka obecna prawie na każdym przedstawieniu – premierach, wznowieniach czy zmianach obsad - od końca lat 50. Nikt nie jest w stanie jej zaskoczyć, widziała i słyszała największych śpiewaków, jak Callas, Tebaldi, Nilsson czy Moffo. Była na spektaklu „Mocy przeznaczenia”, podczas którego umarł na scenie legendarny baryton Leonard Warren.

Nie zapomnę też, jak przed jedną z gal w Met przywitałem się z kardynałem Nowego Jorku, Edwardem Eganem, uczęszczającym zawsze na ważniejsze operowe wydarzenia. Zagadnął mnie po angielsku: „Pan chyba jest z Polski?”. Na moje skinienie powiedział – już po polsku i z dość dobrym akcentem – „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Na co ja oczywiście: „Na wieki wieków, amen!”.

Co sądzisz o operach współczesnych? O „współczesnianych” realizacjach reżyserskich?

W Met króluje żelazny kanon operowy. I dobrze. Klasyka musi stanowić trzon repertuaru. Nawet Giulio Gatti-Casazza mówił kiedyś, że musi wystawiać „Traviaty” i „Toski”, bo bez nich już po trzecim przedstawieniu mógłby wyjść na scenę i strzelać z karabinu maszynowego w stro-



Z Marcello Alvarezem
świetnym Cavaradossim
w „Tosce” Verdiego.

nę widowni, nie obawiając się, że komuś zrobi krzywdę. Ale Met stara się zawsze wystawiać coś z oper współczesnych czy z klasyków współczesności. W ubiegłym sezonie był to „Dr. Atomic” Johna Adamsa, w tym już niedługo – „Z domu umarłych” Janaczka, Ryszard Strauss („Ariadna na Naxos”, „Elektra”), a pod koniec sezonu – „Lulu” Berga.

Osobiście wolę uwspółcześnione (byle mądrze) stare opery, zamiast np. muzeum Zefirellego, którego to dwie inscenizacje w Met są w tym sezonie wymieniane („Tosca” i „Carmen”). Inszenizacje muszą być mądre i w zgodzie z muzyką, a nie przeciwko niej. Wydaje się to oczywiste, jednak nie dla wszystkich reżyserów! Wysoko cenię zeszłoroczną inscenizację „Potępienia Fausta” Berliozą w reżyserii Roberta Lepage’a.

Gruntownie poznałeś gmach Met – wszystkie strefy widowni, foyer, a także zakamarki za kulisami i garderoby solistów.

Pomieszczenia Metropolitan Opera lubię, ponieważ zawsze można tam zobaczyć zmieniające się wystawy kostiumów, rekwizytów czy innych rzeczy związanych z legendarnymi postaciami z historii opery.



Od prawej –
Aleksandra Kurzak,
Joanna Żmurko
i żona naszego rozmówcy.



Anna Netrebko
(w środku)
z Piotrem Beczałą
i jego żoną.

Na wysokości najniższych i najdroższych łóż są gabloty z na stałe eksponowanymi precjozami, takimi jak laska Rossiniego, batuta Wagnera, złota papierośnica Carusa czy duża brylantowa brosza cesarzowej Eugonii, która w 1936 została ofiarowana Lukrecji Bori przez wielbicieli jej talentu podczas benefisu.

Od niedawna starsz się też prowadzić dokumentację fotograficzną wydarzeń muzycznych.

Kiedyś nie nosiłem ze sobą aparatu, a szkoda. Z niektórymi śpiewakami już nigdy nie będę się mógł sfotografować – a przecież stałem koło nich, niejako ocierając się o wielki świat opery. Myślę tu o Birgit Nilsson, Nikołaju Giaurowie,

Beccałę z małżonką (zostałem przez nich zaproszony do garderoby) oraz Włochów: Giuseppe Filianotiego (miły człowiek, lubiący czytać – również polską literaturę w tłumaczeniach, jak np. „Sklepy cynamonowe” Schulza) i Simone Alaimo. Zdarzyło mi się być pielęgniarzem wuja Alaimo i dlatego poznałem go osobiście przy łóżku chorego, a raz nawet w ostatniej chwili wiozłem go do Metropolitan na przedstawienie „Don Pasquale”, w którym śpiewał tytułową partię, a był to spektakl ze zjawiskową wtedy Anną Nettekko, Juanem Diego Flórezem i Mariuszem Kwietniem.

Bilety do Met czy Carnegie Hall nie należą do tanich. Miejsce na parterze to wydatek rządu kilkuset dolarów.

Abonamenty są za drogie. Staram się kupować jak najtańsze wejściówki, a potem znaleźć jak najlepsze wolne miejsce. Tuż przed koncertem w Avery Fisher Hall można czasem kupić bilety przecenione, np. z 75 na 25 dolarów. Po latach chodzenia znam już ludzi, którzy mają dostęp do darmowych biletów. Nie waham się z tego korzystać.

W hallu kasowym Met są dwa 32-calowe telewizory, na których można za darmo oglądać bieżący spektakl. Zdarza mi się wybrać np. tylko na II akt danej opery, aby obejrzeć konkretnego wykonawcę. W takiej sytuacji można zdobyć darmowy bilet na podoperowej „giełdzie” od kogoś, kto akurat wychodzi.

Kiedyś strzeliła mi opona na autostradzie, o 3.30 rano, kiedy jechałem do Met po bilety na otwarcie sezonu. Nowy Jork to miasto, które, jak śpiewa Sinatra, nigdy nie śpi! Zawsze jadę w kolejkę wcześniej, tak aby wejściówkę mieć w pierwszym rzędzie „standing room” z tyłu „orchestry” – czyli parteru. Po zmianie koła na

miejsce dojechałem na 5:45 – i byłem dziesiąty na liście. O godzinie 10.00 otwarto okienka kasowe.

Można też kupić wejściówki do Met po 10 dolarów, na tzw. „desk score”, czyli miejsca z których słabo widać, ale za to dobrze słychać i gdzie są oświetlone pulpity z rozłożonym wyciągiem fortepianowym danej opery. Mało ludzi wie o takich możliwościach. Można wreszcie uczęszczać na próby generalne, które są zazwyczaj trzy dni przed premierą, pomiędzy godziną 11 a 13. Bilety są darmowe, trzeba się tylko zakreślić. W ciągu sezonu są też trzy dni otwarte, podczas których bilety są gratisowe, a ponadto odbywają się imprezy towarzyszące (spotkania panelowe z twórcami i wykonawcami, wystawy, pokazy czy projekcje filmów, itd.). Pan Bóg opiekuje się nie tylko pijakami, ale i szaleńcami. Zawsze liczę na łut szczęścia, na promyk biletowej łaski...

Jak rodzina traktuje twoje hobby?

Żona, którą staram się zabierać na najciekawsze wydarzenia, szanuje moje hobby, szczególnie po tym, co powiedziała jej kiedyś matka Aleksandry Kurzak – Jolanta Żmurko. Przekonała ją, że jeśli mam dużo płyt i słucham ich w domu – to nie chodzę często na miasto.

Córki do muzyki specjalnie się nie garnęły, ale uczęszczały na lekcje tańca w prywatnych szkołkach baletowych, które w Stanach są bardzo popularne.

Które z wydarzeń wokalnych zapamiętałeś jako rewelację?

Pavarottiego w „Luizie Miller” Verdiego. Stał na scenie niczym beczka, ale produkował złote tony. Kiedyś jakiś krytyk napisał bodaj o Giglim, że każdy jego występowany ton to jakby złoty gulden zrzucony na ladę i to właśnie wtedy pomyślałem o Pavarottim.



Specjalna przepustka za kulisy – po koncercie Cecilii Bartoli.

Alfredo Krausie czy Genie Dimitrowej. Z Mirellą Freni spotkałem się po „Napoju miłosnym”. Mam jej autograf, ale wspólnego zdjęcia – nie. Rozmawiałem z Marilyn Horne, z Jamesem Levine’em. Legendarny Sherrill Milnes na hasło „Polska” od razu zadał mi pytanie, czy Wiesław Ochman jeszcze żyje...

Z niektórymi śpiewakami utrzymujesz serdeczny kontakt pozateatralny.

Z tych znajomości najbardziej cenię sobie Polaków: Aleksandrę Kurzak oraz Piotra



Z Danielle de Niese – niezapomnianą Eurydyką w operze Glucka.



Z Renée Fleming – niezrówaną Marszałkową w „Kawalerze Srebrnej Róży” Ryszarda Straussa.

Inną wielką chwilą, która na zawsze utkwiała mi w pamięci, był bis Juana Diego Floreza podczas premiery „Córki pułku” Donizettiego w 2008. Pozytywnie zaszokowała mnie kiedyś Grace Bumbry. Spodziewałem się usłyszeć leciwą śpiewaczkę z tzw. nazwiskiem, a ona przy końcu swej kariery pokazała, że ma świeży głos, którym doskonale operuje. Przyjęto ją owacyjnie.

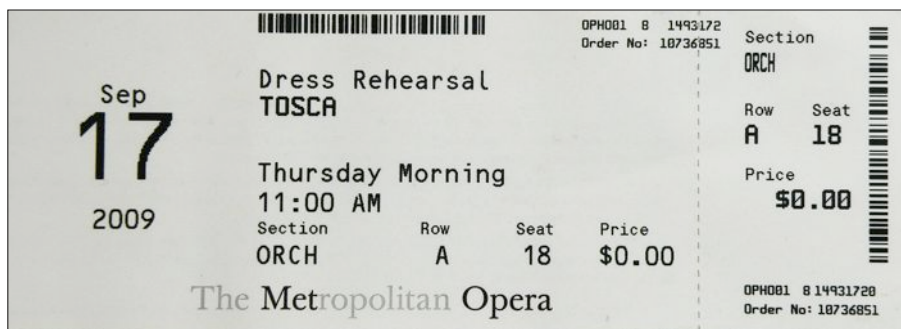
Jako coś zupełnie przeciwnego wspominał tegoroczny koncert Bocellego z końca sierpnia. Klasyczne robienie kasy! To było żalozne – Bocelli nasadzał się, forsował głos. Nie używał mikrofonu i kiedy śpiewał piano, nikt przy orkiestrze. Dobrze, że

Nastąpiła kilkunastosekundowa przerwa. Na widowni cisza, nikt nie śpiewa, orkiestra nie gra, a na scenie nikt się nie rusza. Konsternacja! Dopiero po chwili Villazon zahaczył właściwy dźwięk i przedstawienie się jakoś potoczyło. Przerwa pomiędzy drugim a trzecim aktem trwała jakieś 50 minut, a zaraz po niej wyszedł przed kurtynę dyrektor Met, Peter Gelb, i usprawiedliwił niedysponowanego Villazona, oznajmiając przy okazji, że „nie chce on sprawiać zawodu publiczności, więc zdecydował się kontynuować swój występ”. Daniel Barenboim – to, moim zdaniem, wielki muzyk, ale jako człowiek – bufon, ignorujący melomanów i pomiatający

Teraz rzadko sam coś kupuję; czasem dojdzie coś od znajomych. Bardzo lubię sklep Academy Records na West 18 ulicy na Manhattanie – obfitujący w rozmaite płytowe okazje – wszystkie rodzaje muzyki, na ogół w bardzo przystępnych cenach. Lubię wracać do „Simona Boccanegry” z Cappuccillim, Freni, Giauroum pod Abbado z 1977, do „Carmen” z Price i Corellem pod Karajanem z 1963, „Normy” z Callas, Stignani i Filipeschim pod Serafinem z 1954, „Opowieści Hoffmanna” z Geddą, De Los Angeles i Londonem z 1964-65, „Straszego dworu” z Hiolskim pod Krenzem z 1978 czy „Halki” pod Semkowem z 1973 albo „Hunyadi Laszlo” Erkela z 1984. Wolę słuchać bez słuchawek. Jestem w tej komfortowej sytuacji, że odgłosy z mojego domowego muzycznego „paradyżu” nie dochodzą do sypialni, położonych dwa poziomy wyżej.

Patrząc z nowojorskiej perspektywy, czego życzyłbyś polskim operomanom?

Leży w narodowym interesie, aby opera miała atrakcyjny repertuar. W końcu to jeden z magnesów turystycznych. Już od dawna mówi się przecież o turystyce operowej. W każdym programie Met można znaleźć zachętę pana Schweizera do wydania kilku tysięcy dolarów w Weronie podczas letniego festiwalu. Powinno się puszczać w „skarpetach Wałęsy” ludzi, którzy są za coś odpowiedzialni, a to coś marnują i sprowadzają szmiry w gatunku kiczowato-muzealnego „Cyrulika sewilskiego” w Warszawie. To jest nie do pomyslenia już nawet nie w Wiedniu, ale i w czeskiej Pradze, gdzie są dwie prężne opery z kilkoma scenami i całościowo planowanymi sezonami. Myślę, że tacy ludzie, jak Treliński, Warlikowski, Klata itd. powinni robić przedstawienia operowe – nowe, ale zawsze ciekawe inscenizacje. ■



Bezpłatny bilet na próbę generalną najnowszej inscenizacji „Toski” w Met

miałem darmowy bilet. Gdybym zapłacił, czułbym się nabyty w butelkę!

Z tenorów ostatnimi czasy bardzo mnie rozczarowali Rolando Villazon (fatalna „Łucja z Lammermooru” z 26 stycznia 2009), Salvatore Licitra (okropny w „Balu maskowym”) oraz chyba jeszcze gorszy Jose Cura w „Pajacach”. A Anna Netrebko często nie grzeszy czystością intonacyjną. Villazon zrobił coś, czego jeszcze w operowym profesjonalnym teatrze nie widziałem. We wspomnianej styczniowej „Łucji...” głos mu się zupełnie załamał.

swoją asystentką. Byłem kiedyś świadkiem, jak gburowato przywołał ją przy ludziach: „Don’t socialize – come here” [„Zostaw to towarzystwo i chodź tutaj”].

Stuchasz nie tylko muzyki na żywo. Ile płyt liczy twój zbiór?

W tej chwili już chyba za dużo. Kompletni: Mozart, Verdi, Berlioz, Bellini, mnóstwo Rossiniego, większość oper Wagnera i Donizettiego. Do tego wiele oper w kilku wykonaniach. Najokazalej jest reprezentowany „Rigoletto” (dziewięć kompletów). W sumie około 490 kompletnych oper, 355 recitali wokalnych plus składanki.



Przed Met – Widzowie przebrani za bohaterów Wagnerowskiego „Ringu”.

Z Mariuszem Kwietniem